

Zespół nagłej śmierci łódeczkowej to zmora każdego kochającego, być może nieco nadwrażliwego, rodzica. Zdarza się stosunkowo rzadko lecz gdy postanawia zaatakować, zbiera okrutne żniwo. W przypadku jego wystąpienia perfekcyjnie zdrowe niemowlę ledwo co wypisane z matką ze szpitala umiera nagle, bez żadnego ostrzeżenia, we śnie. Mimo ogromu nieustannie aktualizowanej wiedzy medycznej XXI wieku wciąż wiemy o nim niewiele, a opiekunowie na całym świecie drżą przed konsekwencjami jego nadejścia.

Tymczasem, podczas gdy zaangażowani w medyczne śledztwo lekarze i specjaliści załamują ręce, siedmioletnie dziecko przytula klucz do rozwiązania zagadki każdej nocy w swoim kolorowym łódeczku.

Mama jak co wieczór po dwudziestej dorwała chłopca usiłującego niepostrzeżenie zakraść się do salonu – tam pragnął kontynuować rozpoczętą wcześniej zabawę. Ale cóż to była za zabawa! Leon, bo tak chłopcu było na imię, rozkładał na dywanie szereg własnoręcznie wykonanych wycinanek i bawił się w „dwa królestwa”. Zasady były proste: salon, z racji swych okazałych rozmiarów, zamieniał się w Krainę Lwa, którą władało dwóch królów – Król Richard i Król Arthur. Każdy miał swą ziemię, wojsko i poddanych. Pewnego dnia Król Richard (w zależności od wersji powtarzającego się scenariusza rolę tę mógł przejąć także jego przeciwnik) wpadał na genialny pomysł, by odebrać rywalowi tytuł i samemu pojąć we władanie całą Krainę Lwa. Tak oto zaczynała się wojna – najazdy, bitwy, plany, porwania, a wszystko to (co Leona zupełnie nie obchodziło) w ogólnym rozgardiaszu i bałaganie.

– Halo, halo, nie tak prędko! – zawołała czujna mama chwytając syna za ramię. – Nie taka była umowa.

– Ale mammo! – jęknął chłopiec. – Jeszcze pięć minut, proszę.

Brew mamy uniosła się wysoko, wysoko w górę, na co chłopiec znów wydał z siebie cichy odgłos zawodu.

– Naprawdę, obiecuję – przekonywał gorliwie. – Jeszcze tylko rycerz obroni króla, dobrze? Proszę, dobrze?

Oczekując w napięciu na odpowiedź Leon złożył ręce jak do pacierza i zacisnął usta. Wpatrywał się w opiekunkę jak w obrazek.

Ta westchnęła i niechętnie wróciła do wycierania talerzy.

– Pięć minut – dodała ostrzegawczym tonem, lecz jej pociecha potrzebowała ledwo ułamka sekundy by od nowa zatonać w świecie Krainy Lwa i oddać się błogiemu zapomnieniu. Chłopiec z chęcią bowiem odkładał myślenie o tym, co czekało go niebawem na później.

Jak zwykle Leon wzbraniał się przed pójściem spać. Standardowo najpierw doprowadziło to jego mamę do bólu głowy, a potem do rodzinnej, małej awantury. Z początku mama zwykła łaskawie traktować kapryśnienie syna – miał dopiero siedem lat, w jej oczach siedmiolatek równał się dzidziusiowi, a on był jakiś taki wątpy i chorowity i nie należało go dodatkowo stresować. Z czasem jednak jej frustracja przerozdziła się w prawdziwą złość zwłaszcza, że Leon stanowczo odmawiał zostawiania go we własnym pokoju przy zgaszonym świetle i bez niczyjej opieki. Gdy jego tupanie nogą zawodziło zaczynał płaczliwe przedstawienie, które niekiedy wyzwało w mamie najgłębsze opiekuńcze instynkty, a innymi razy tylko podburzało jej gniew.

Tamtego wieczora w mieszkaniu Stevensonów znajdującym się na siódmym piętrze miejskiego wieżowca, dzień zakończyło wycie chłopca ubranego w białą piżamkę w misie. Mama dwoiła się i troiła, lecz wydawało jej się, że tym razem na dobre straciła kontakt z dzieckiem. Była zmęczona, miała tak wymagający dzień w pracy, i jedyne o czym marzyła to odrobina spokoju w zaciszu własnej sypialni.

– Nie – powiedziała zdecydowana. – Dzisiaj śpisz u siebie.

– Mamo!

– Nie, powiedziałam. Moje łóżko jest za małe dla naszej dwójki, a ty w dodatku zawsze kopiesz mnie i bijesz po twarzy przez sen. Czy ty zasnąłbyś w takich warunkach? No pomyśl.

– Ale mamo! – chlapał Leon. – Dzioty!

– Co takiego? – zbita z pantafelku mama chwyciła się pod boki. – Dzio-co?

– Dzio... – chłopiec urwał w pół słowa i nagle zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. – Dzioty.

– A cóż to takiego jest?

Leon przełknął głośno ślinę. Łzy wyschły mu na policzkach, wargi miał popękane od płaczu. Milczał.

Kobieta kucnęła przy synku, choć powoli sprawiało jej to coraz większą trudność, i objęła go delikatnie. Wzrokiem śledziła duże, błękitne oczy dziecka i zastygła w nich obawę.

– Nie wiem czego tym razem naopowiadała ci babcia, Leosiu, ale żadnych dziotów nie ma. To bajki. Idź spać kochanie, ja już sobie z babcią porozmawiam. Zadzwoń do niej i powiem, żeby przestała cię straszyć. No już, idź spać, słoneczko. Twój nowy miś czeka na ciebie w łóżeczku, pamiętasz?

Anielski uśmiech mamy, podobnie jak wspomnienie nowego pluszowego przyjaciela, rozpały w sercu Leosia ogień otuchy. Odpowiedział jej uśmiechem, choć drobnym i niepewnym. Znalazł w jej czułych słowach pociechę wystarczająco silną by tym razem spróbować.

Zanim odmaszerował do pokoju chwycił mamę za rękę i spoglądał poważnie to na pogrążoną w ciemności sypialnią, to na jej opanowaną twarz. Gestem palca poprosił, by nachyliła się ku niemu.

– One zaglądały przez okna – wyszeptał jej do ucha. – Wiedzą, kiedy nie śpię.

W pierwszej chwili kobieta poczuła na karku zimny dreszcz. Dziwnie ułożone słowa dziecka wzbudziły w jej sercu przenikliwy niepokój. Ten jednak zaraz odbiegł gdy przypomniała sobie, jak jeszcze kilka godzin temu Leos zaciekle tłumaczył rycerzom, co winni zrobić by na dobre podbić upragnione łądy.

– Wiesz co – uśmiechnęła się szeroko – jeśli nakryjesz brodę kołdrą, to żaden dziot cię nie zobaczy. To taka magiczna kołdra.

– Naprawdę?

– Ależ tak. I pamiętaj o Teddy'm. On zawsze cię obroni.

– A ją? – zapytał przejęty Leon ostrożnie kładąc rękę na pękatym brzuchu matki.

– Tak – potwierdziła pogodnie. – Ją też.

Dzień na dobre pożarła noc. Jej upiorny wysłannik mrok, starannie wypełnił najodleglejsze zakamarki miasta. Ciche westchnienia wiatru wkradające się do pokoju przez uchylone okno, poruszały zieloną firanką. Światła przejeżdżających po ulicy nielicznych samochodów przesuwwały się po ścianie nad dziecięcym łóżeczkiem niczym klatki abstrakcyjnego filmu. Dookoła panowała cisza mącona jedynie odległym miejskim szumem i jednostajnym tykaniem wskazówek zegara.

Starszy pan, sąsiad Stevensonów mieszkający samotnie mieszkanie wyżej, posiadał okazałą kolekcję zażytkowych zegarów. W chwilach takich jak ta, gdy świat wymownie milczał, Leos był niemal pewien, że słyszy nawet drgające wskazówki wszystkich okazów zbioru. Widział je kiedyś na własne oczy i od tamtej pory ich nieskoordynowany dźwięk towarzyszył mu niemal każdej nocy.

Tik-tak, tik-tak.

Leon od pół godziny próbował zasnąć. Czysty i pokrzepiony wpełznął pod kołdrę z uśmiechem, który stopniowo zamierał na jego twarzy ustępując miejsca czujności. Nasłuchiwał, dokładnie skanując wzrokiem całą sypialnię. By dodać sobie odwagi trzymał Teddy'ego za łapkę. Stale kontrolował godzinę.

Tym razem czas zdawał się płynąć nadzwyczaj powoli, dzięki czemu nadejście północy przestało go trapić. Monotonne zajęcia i towarzyszące im miarowe tykanie zaczęło usypiać chłopca. Skupienie naturalną kolejną rzeczą stopniało, pozostawiając szerokie pole do popisu dla wyobraźni. Ta, korzystając ze swobody, przywiodła Leosia do Krainy Lwa i pozwoliła mu ukoić zmysły w jej przyjaznych stronach. Odpływał.

Zbudziła go seria krótkich, intensywnych stuknięć. Leon w jednej chwili smacznie spał, a w następnej otworzył szeroko oczy i z roztargnieniem przetrząsnął nimi swój pokój. Gdy wzrokiem natrafił na połyskującą w świetle księżycy tarczę zegara, oddech uwiązał mu w gardle. Do godziny duchów pozostało

dziesięć minut.

Panika przejęła serce Leosia. Zabiło w jego piersi mocno niczym dzwon, po czym popędziło nieubłaganie naprzód tam, gdzie rozum nie mógł go już dogonić. Drobne rączki chłopca zacisnięte na przytulance natychmiast zwilgotniały, kolana podciągnięte pod brodę zadygotały jak z zimna. Strach całkowicie go sparaliżował. Nie był najlepszy w matematyce, ale na zegarku znał się jak nikt w klasie. Doskonale wiedział, że dziesięć minut miało to do siebie, że w różnych okolicznościach mijało albo bardzo powoli, jak na przykład w szkole, albo piorunem. W tamtym momencie był więcej niż pewien, że akurat to konkretne dziesięć minut prześlizgnie się między jego palcami niemal niezauważone.

Zrozpaczony chłopiec gorliwie zacisnął powieki, lecz im mocniej usiłował z powrotem przywołać sen, tym dalej odbiegał on ze złośliwym chichotem na ustach. „Ja chcę spać” – szeptał namiętnie pod nosem – „ja chcę spać, proszę”. W jego głowie huczało od myśli, spłoszonych i rozbieganych. Wojował z nimi pragnąc odzyskać władzę nad wątłymi mięśniami i co tchu popędzić do bezpiecznego azylu w ramionach matki, lecz nim zdołał poczynić w batalii postępy donośne dźwięki dochodzące z mieszkania na górze oznajmiły północ, dwanaście razy wybijając ten sam, niski ton.

Bam – zagrzmiało stłumione. – Bam. Bam. Bam...

Na ratunek było za późno. Leon każdym milimetrem pokrytego gęsią skórką ciała czuł pełzającą mu po kostkach zgubę.

Nagle przypomniał sobie słowa mamy. W desperackiej próbie ocalenia własnej skóry usiadł, chwycił skopaną przez niego we śnie w dolny kąt łóżka kołdrę i szarpnął, zakopując się pod puchatym przykryciem po samą brodę. Dokładnie wtedy usłyszał smętne, powłóczyście odgłosy dreptania. Dobiegały zza okna.

Dzioty nadchodziły.

Leon zamknął oczy i choć powieki same machinalnie zaciskały się sterowane przerażeniem, usiłował nieco je rozluźnić by jego domniemany sen wyglądał wiarygodniej. Aby lepiej zabezpieczyć twarz zanurzył jej znaczną część w poduszce, a resztę zasłonił rzuconym niby przypadkiem tuż obok Teddy’ m. Wstrzymał oddech i liczył sekundy. Ćwiczył to wcześniej, ale nie umiał wytrzymać bez tlenu dłużej niż dwadzieścia. Wiedział, że mimo wszystko ma szansę przeżyć, jeśli odpowiednio to rozegra.

Człapanie przybierało na sile. Z odmętów ciszy wylaniały się także posępne głosy – niskie, ochryple, nie-ludzkie. Najczęściej używały one języka, którego Leon nie rozumiał, brzmiącego chaotycznie i staro, nacechowanego agresją i nieznośnym dla ludzkiego ucha pośpiechem. Czasem jednak zdarzało się Leosiovi wyłapać strzępki rozmów z użyciem znanych mu kombinacji. Choćby nie wiem jak wstrząsnęły nim zasłyszane słowa, nie dawał po sobie niczego poznać. Udawał, że śpi.

Krzątanina z nieznanego miejsca nieopodal przeniosła się na okno Stevensonów. Dzioty nigdy nie dotykały szyb, pozostawały ukryte nad, lub po bokach plastikowych ram okna. Prowadziły swą ponurą wędrówkę niczym pająki po ścianie.

– Jeszcze tu – wychrypiał obcy, zimny głos. – Tuuu – zawył.

Człapanie zgromadziło się dookoła okna Stevensonów. Leoś czuł ich obecność. Nie śmiał nawet drgnąć. Oddychał jak najspokojniej.

– Śpiiii?

– T-aak.

– Na p-e-e-wno?

Przeciągnięta chwila milczenia dla Leosia trwała wieczność. Bał się, że jeżeli dzioty zostaną tu dłużej nie wytrzyma i zdradzi faktyczny stan rzeczy jakimś nieuważnym ruchem lub odgłosem.

Nagle w odpowiedzi na zadane pytanie rozbrzmiał chaotyczny ryk, groźny i wzburzony. Chłopiec pisnął cichutko, pozwalając sobie zacisnąć bezszelestnie palce na łapce pluszowego misia. Nie łudził się, że dzioty zignorowały ten odgłos. Mogły jednak uznać, że Leon zrobił to przez sen.

Tym razem miał szczęście. Dzioty kontynuowały rozmowę obcą mową, bezlitośnie wydłużając tym samym męki chłopca. Mięśnie zaczęły go boleć, ledwo brakowało by ogarnął je paskudny skurcz.

Kiedy nadzieja Leosia została niemalże do cna wypłukana, jego uszu dobiegło chóralne człapanie błonia-  
stych kończyn płaza, tym razem niknące w nocy. Choć w jego dziecięcej głowie wiadomość ta miała inny kształt nieśmiało pomyślał, że po raz kolejny samodyscyplina wybawiła go z opresji.

Nim poruszył się względnie swobodnie odczekał cierpliwie swoje by upewnić się, że nikt nie będzie go już kontrolować. Wreszcie nie wytrzymał ani sekundy dłużej i obolały przekręcił się na plecy celując wzrokiem w sufit. Dyszał ciężko jak po górskiej wyprawie na najwyższy szczyt, kwaśny zapach potu i jego wszechobecna pod kołdrą wilgoć utrudniały chłopcu rozluźnienie. Pocieszało go to, że bądź co bądź tej nocy był już bezpieczny. Dzioty nigdy nie wracały w to samo miejsce gdy odeszły już do następnego budynku.

Kilka minut później Leoś padł z wyczerpania. Rankiem ocknął się dokładnie w tej samej pozycji, w której zasnął.

Leon nie przypominał sobie, kiedy dokładnie zaczęła się jego udręka. Odkąd sięgał pamięcią dzioty straszyły go za każdym razem gdy zbyt długo czuwał. Nie oznaczało to jednakże, że nie wiedział o nich zupełnie nic. Mimo tego, iż nie prowadził żadnego dziennika gdzie spisywałby obserwacje, na co brakowało mu zresztą biegłości w piśmie, kilku rzeczy odnośnie dziotów był absolutnie pewien.

Stworzenia te – czymkolwiek były – nadchodziły zawsze wraz z wybiciem północy. Nie materializowały się nagle, a pełzły po wieżowcu powoli, do lewej strony okna, przyklejone do budynku niczym pajęczaki, podążając za im tylko znanym schematem. Dzięki gderliwym, napiętym tonom chłopiec zawczasu zyski-

wał cenne sekundy do przygotowania odpowiedniego wyrazu twarzy i pozycji na ich przybycie. Istoty podróżowały zawsze we dwójkę lub trójkę, przy czym Leoś nigdy nie słyszał więcej niż dwóch głosów. Nie potrafiły też dziotów narysować, choćby nawet odwaga rozbłysła w nim płomieniem śmielszym niż kiedykolwiek. Wygląd poczwara pozostawał tajemnicą, której odkrycie przynosiło zgubę.

Nie to było jednak najważniejsze, a cel conocnej misji owych kreatur. Sprowadzała się ona bowiem do jednego: dzioty kontrolowały, czy każde dziecko pogrążone jest we śnie. Jeśli tak – zaglądały do sypialni przez okno i odchodziły. Lecz jeśli nie...

Nie tyle strzępki zrozumiałych dla Leona rozmów co gorący instynkt podpowiadał mu, że igranie z dziotami niosło ze sobą straszliwe konsekwencje. Za wszelką cenę usiłował ich więc uniknąć, niestety poprzez względnie częste testowanie swych aktorskich umiejętności, co z kolei napędzało błędne koło strachu przed następnym, być może nieudanym spektaklem.

I tak mijała noc za nocą.

Pochmurnego styczniowego wieczora nadszedł moment rozwiązania. Pani Stevenson nastraszyła i tak wystarczająco zestresowanego Leosia nagłym odejściem wód na popołudniowych zakupach w supermarkecie. Podczas gdy obsługa sklepu wzywała karetkę, kobieta zawiadomiła babcię chłopca i poprosiła, by ta przyjęła dziecko pod swoje skrzydła. Tym sposobem Leon trafił do babci i przez następne dwie noce uspokojony zasypiał w jej wielkim, trzeszczącym łóżku. Nie bał się wtedy, nic a nic. Wiedział, że chociaż dzioty na pewno nie są tak głupie by go nie wytropić, to nie ośmieliłyby się skrzywdzić go kiedy babcia chrapała tuż obok.

Gdy znów zobaczył matkę trysnęły łzy radości. Od tamtej pory rodzina Stenensonów włączyła w swe domowe ognisko nowego członka.

Mama tłumaczyła Leosiowi, że to nie od niej zależy, czy jego rodzeństwem będzie brat czy siostra. Chłopiec tym bardziej nie potrafił opanować zdziwienia podpatrując różowy kocyk, którym kobieta wyściełała dno dziecięcego łóżeczka.

– Kozucha kłamczucha – przezywał mamę marszcząc gniewnie brwi. – Mówiłaś, że nie możesz wybrać, a ja prosiłem o siostrę i mam siostrę.

– Synku, to naprawdę nie... Och. Nieważne. Bądź proszę tak dobry i podaj mi pieluszkę.

Leoś szybko odnalazł się w nowej roli i chętnie pomagał mamie we wszystkim, o co go poproszono. Przynosił więc smoczki, śpioszki, poduszeczki i pampersy (odmawiał tylko wyrzucania tych cuchnących). Z ciekawością obserwował pulchne rączki siostry błędzące bez celu w powietrzu i jej duże błękitne oczy z którymi nie mógł złapać żadnego kontaktu. Mówił do niej, ale nie słuchała, wołała zdzie-

rać pulsujące od płaczu gardelko. Na każde takie zawołanie mama pędziła do niemowlaka ile sił w nogach, czasem potykając się o rzuconą w progu torbę, jakiej nie zdążyła rozpakować po powrocie ze szpitala. „A niech to szlag! Co za gówno!” – krzyczała wtedy, po czym z rozkazującym gestem przestrzegała syna: „Nie waż się tego powtarzać!”.

Przy Mai dni biegły szybko wypełnione krzątaniem, ciepłymi kołysankami, wizytami babci i zalewem świeżo upieczonych maślanych ciasteczek. Leoś, zbyt zmęczony by czuwać nocami, zasypiał równie prędko, co wskakiwał pod pierzynę.

Pewnego dnia, mniej więcej dwa miesiące po przyjściu Mai na świat, Leon obudził się w środku nocy spocony i zgrzany z paskudnie złym przecuciem siedzącym mu na ramieniu. Nie był pewien, co wyrwało go ze snu. Gdy rozejrzał się ledwo przytomnym, lecz odpowiednio baczny okiem po sypialni stwierdził, że nic nie zmieniło się tam od wieczora. Serce ostrzegło go mocnym uderzeniem sekundę przed skontrolowaniem godziny, lecz grubsza wskazówka ledwo sięgała dwudziestej drugiej. To wystarczająco dużo czasu, by usnąć.

Przez następne piętnaście minut chłopiec próbował rozluźnić mięśnie na nowo, lecz sen nie przychodził. Uczucie niepokoju powoli zajmowało serce dziecka niczym opanowująca łądy niewidzialna zaraza, toteż Leon stwierdził, że potrzebna mu bezzwłocznie mamina obecność.

– Mamo – szepnął wysuwając nos spod kołdry. – Mamo!

Wiedział, że jego żalosne wołanie to nic w porównaniu z wrzaskami Mai i mama najprawdopodobniej po prostu go nie słyszy, ale nie mógł oprzeć się pokusie, by nie spróbować.

Brak odpowiedzi wyгнаł chłopca z łóżka. Nie bez lęku przebiegł przez pokój i korytarz, by z rozpędem trafić do sypialni rodzicielki. Wskoczył na wysokie łóżko i w ciemnościach szukał pod zwałami grubej pościeli matczynej ręki, lecz nie zdołał jej odnaleźć.

Przed wpadnięciem w panikę powstrzymały go odgłosy donośnego chrapania dobiegające z salonu. Pędem pobiegł do źródła dźwięku i powstrzymany niewidzialną, odpychającą go od miejsca spoczynku kobiety siłą stanął w progu przytulony do lekko uchylonych, zimnych drzwi.

Mama spała w najlepsze na kanapie w przedziwnej pozycji przypominającej, jakby tak się chwilę zastanowić, samolot. Światło włączonego telewizora oświetlało jej bladą twarz i otwarte, puste dłonie. Dookoła niej, na meblu i podłodze, leżały porzucane papiery. Faktury, dokładniej rzecz biorąc, ale to Leoś zupełnie nie interesowało.

Chłopiec zrobił krok w jej stronę, lecz zawahał się. Mógł być mały i nie tak rozumny jak dorośli, ale wiedział wyraźnie cienie pod zielonymi oczami mamy i czuł, jak ciężko i nienaturalnie oddycha. Nie wiedział, co począć.

Wreszcie podszedł do niej cichutko i dotknął jej kolana.

– Mamo – szepnął. – Mamusiu.

– Co, co? – wymamrotała sennie kobieta. – Weź, weź sobie.

– Nie mogę... Nie mogę spać.

– Co? Aha...

– Mamo...! – jęknął Leoś, ale ledwo drgające usta kobiety zamilkły na dobre.

Nie pozostawiła mu wyboru – musiał zwinąć się w kłębek i zasnąć obok. Pamiętał, że raz tak już przysnęli i było im obojgu strasznie niewygodnie na ciasnej przestrzeni, ale nie mógł przecież wrócić do sypialni, nie teraz kiedy powoli choć nieubłaganie zbliżała się północ.

Przez następną godzinę Leon usiłował znaleźć wygodną pozycję na wszelakie możliwe sposoby, lecz żadna nie pozwalała mu wypłynąć na senny ocean marzeń. Co gorsza, brak wygody nie był jego jedyną przeszkodą. Ostre światło telewizora widział nawet po przymknięciu powiek, a gołe łydki chłopca smagał nieprzyjemny wiatr. Pilot leżał prawdopodobnie na stole i nie było nawet mowy by Leon miał teraz tam się zakradać, brakowało mu kołdry, a na domiar złego ciepłe okrycie zostawił w sypialni. Niedogodności i chłód wynagradzała tylko obietnica bezpieczeństwa, jaką niosła ze sobą obecność mamy.

Zbyt zmęczony by płakać, Leon wreszcie skapitulował i stwierdził, że dłużej tego nie znieśie. Tak jak od irytującego światła telewizora uciekał wsuwając głowę między ozdobne poduszki, tak łaskoczące go po nagich łydkach zimno stawało się nie do wytrzymania. Postanowił, że musi zdobyć przykrycie.

By nie utrudniać zadania uznał, że łatwiej będzie przebiec przez korytarz prosto do sypialni mamy i zwędzić jej ozdobny koc w polne kwiaty, który zawsze, nie wiedzieć czemu, wisiał na wieszaku przy garderobie. Tak też zrobił.

Tym razem nie pobiegł. Wyszedł na korytarz i nawigowany przez blade snopy księżycowego światła przeplatane żółtymi plamami jasności z ulicznych latarni, powoli kroczył przed siebie. Stawiał stopę za stopą, to nasłuchując, to przystając by obrzucić pełen upiorów wyglądających zza mebli korytarz lęklwym spojrzeniem. Podłoga pojękiwała pod ciężarem jego drobnego ciała. Nie wiedział która godzina, więc tym bardziej miał się na baczności, gotów w ułamku sekundy zawrócić i pognać czym prędzej do matki.

W sypialni opiekunki panowała cisza. Zniekształcona szarość mroku uwydatniała wypełnione fotografiami ściany i ubrania rozrzucone na fotelu – uśmiechniętym osobom ze zdjęć pozwalała poruszać mięśniami twarzy, stopy dziecięcych śpioszków i sukienek przepoczwaczała w oddychające istoty.

Nieustannie kontrolując przestrzeń wzrokiem na palcach przemknął w kąt w stronę garderoby, by osłonić plecy niemal przywarł tyłem do ściany. Zmory zatrzymanego w czasie pokoju sprawiały, że Leoś poruszał się ociężale, jak pod wodą.



Gdy znalazł się wystarczająco blisko po cichu odsunął drzwi, upatrzył upragniony koc i sięgnął po niego wysoko, o wiele wyżej niż byłby w stanie się po sobie spodziewać. Na karku czuł już drobne krople potu, jego palce smagnęły puszysty, polarowy materiał. Brakowało mu tak niewiele, prawie czuł ciepło otulającego go przykrycia gdy po wszystkim wtuli się w kąt kanapy, lecz wtem starania przerwał, wywołany zupełnie nieumyślnie piskliwy dźwięk zniekształcanej przez niskiej jakości głośniczki dźwięk dziecięcej zabawki.

– Cześć! – zapiszczało z głośniczków wraz z wesołą melodyjką. – No to bawimy się!

Leon natychmiast porzucił pomysł z kocem, rzucił się w dół by czym prędzej wyłączyć zabawkę. Po omacku odszukał włącznik, przy okazji dwa razy wypuszczając kolorowe organki z dłoni. Łoskot towarzyszący upadkom plastiku na podłogę nieznośnie drażnił uszy.

– Raz! Dwa! Trz...

Chłopiec pstryknął włącznikiem i przycisnął zabawkę do piersi, zupełnie jakby pragnął zagłuszyć milczący już głośnik własnym ciałem. Dysząc sterczał w garderobie jak słup soli i wystraszonymi ślepiami biegał po sypialni z kąta w kąt spodziewając się, że dzioty lada moment zjawią się w którymś z nich. Tak się jednak nie stało. Zamiast charkotliwych, zwierzęcych odgłosów, pulsującą ciszę przerwało płaczliwe kwilenie.

Maya. Jak Leoś mógł o niej zapomnieć! Tak bardzo przejął się nagłym hałasem, że zupełnie zapomniał o siostrze. Pragnąc czym prędzej naprawić błąd odstawił organki na półeczkę i podszedł do jej ozdobionego kwiecistymi naklejkami łóżeczka. Nie mógł zajrzeć do niej z góry, lecz przez odstępy między drewnianymi prętami dokładnie widział pozbawioną różowego odcienia przez posępne światło ulicy twarzyczkę dziewczynki, jej zaciśnięte w piąstki paluszki i wpatrzone w niego okrągłe, niebieskie oczęta. Chłopiec zobaczył, jak bródka dziecka drga niespokojnie, wciąż niezdecydowana czy zapłakać w głos, czy też nie.

– Ciiii – szepnęła Leon, na moment zapominając o wszystkich strachach maminej sypialni. – Musisz być cicho, Maya, mama śpi.

Dziewczynka wydała z siebie graniczący ze szlochem bulgot.

– Nie, nie, nie, nie – ciągnął Leoś. Wsunął rękę między drewniane pręty i dotknął zaciśniętej piąstki siostry. – Nie płacz – nalegał.

Maya wahała się jeszcze trochę, lecz ku ogromnemu zdziwieniu Leona jego prośby poskutkowały. Bobas wierzgnął pogodnie podkurczonymi nóżkami i... uśmiechnął się.

Twarz chłopca pojaśniała mimowolnie za sprawą promiennego uśmiechu zdolnego rozproszyć najgęstszy mrok. I co też ta mama opowiadała, myślał sobie, że tak ciężko tego malucha uspokoić? Jemu wystarczyła ledwie minuta!

Czując się słusznie prawdziwym bratem-mistrzem Leon pogłaskał siostrę po głowie puszczać troski w

niepamięć. Odszedł od łóżeczka, wrócił do garderoby i spokojnie, choć o stokroć uważniej, sięgnął ponownie po koc, który tym razem posłusznie wpadł w jego ręce. Po tym, ciągnąc przykrycie za sobą po podłodze, wyszedł na korytarz.

Przyplęnęło do niego prawdziwe znużenie, mimo radości jaka wstąpiła w jego serce ledwo włókł się naprzód. Już czuł na powiekach ciężar słodkiego snu, gdy wtem jego uszu dobiegła gwałtowna seria podniosłych, chaotycznych powarkowań.

Dzioty nadchodziły, i to tuż za jego plecami.

Chłopiec wpadł w panikę. Pod wpływem impulsu padł na panele na korytarzu niczym słyszający rozkaz żołnierz i zakopując się pod kocem całkowicie znieruchomiał. Serce waliło mu w piersi jak oszalałe, czy dzioty uwierzą, że był tak zmęczony że aż zasnął na korytarzu? A może wyczują przerysowany podstęp, podejść bliżej?

Wizja tego, iż jakakolwiek z tych budzących trwogę kreatur miałaby postawić łapę, nogę, odnóżę – w cokolwiek były wyposażone – w jego domu, zagrziała w głowie chłopca głośno jak ostrzegawcza syrena, dosłownie wstrząsnęła jego wątłym ciałem.

Czas jakby przyspieszył, odgłosy z zewnątrz nabierały mocy. Nim Leon zdążył podjąć jakiegokolwiek kroki czy przemyśleć swą improwizację, złowieszcze człapanie już przywarło do ram okna matczynej sypialni.

Debatę dziotów rozpoczęła uroczysta chwila ciszy. Chłopiec wiedział, czuł każdą cząstką swego jestestwa, że kreatury przyglądają się właśnie jemu, w milczeniu analizując to przedziwne położenie. Musiały być nim wielce zaskoczone. Przeżarty przez lęk Leoś nie śmiał nawet drgnąć, choć osłonięty pod kocem pozwolił sobie rozchylić powieki. Kolorowy materiał przepuszczał nieco światła, lecz jedynym co znajdowało się w polu widzenia był kawałek pustej ściany.

Wreszcie dzioty przemówiły. Wyjącymi, chrapliwymi odgłosami pochrząkiwały jeden po drugim, aż tę pozbawioną sensu dla ludzkich uszu dyskusję przerwało przeraźliwe, gromiące zmysły wycie. Leon doświadczył go po raz pierwszy. Jego właścicielem musiał być ten dziot, który nigdy wcześniej nie przemawiał.

Na jego zawołanie dwa pozostałe stworzenia umilkły pokornie. Teraz nie tylko kawałek przestrzeni na zewnątrz budynku, ale i całe mieszkanie Stevensonów pogrążyło się w napięciu.

– O-o to? – wychrypiał dostojnie trzeci, najstraszliwszy, najgłębszy z głosów.

– Śypi.

– N-e! – zaprzeczył ostro gromowładny ton. – Udajcie.

Uszu Leosia dobiegł zamaszysty świst wciąganego przez nozdrza powietrza. Bez Teddy'ego pod ręką obawiał się, że to jego ostatnie nocne przedstawienie, lecz instynkt przetrwania nakazywał mu konty-

nuować podjętą walkę o życie. Ani drgnął, ograniczał każdy wdech.

Dzioty dumały. Każda stracona na ich ciszę sekunda rozciągała męki chłopca w nieskończoność.

– Hmmm – rozbrzmiało w końcu gardłowe mruknięcie, uzupełnione serią nieartykułowanych charkotów.

– Moe – zdawał się potwierdzać inny dziot. – Cze-kamy.

Mijały nieubłaganie pełne trwogi i napięcia sekundy. Obladowany bezgranicznie głębokim strachem Leoś przywierał do zimnej podłogi w myślach powtarzając wyuczone modlitwy. Bez Teddy'ego, magicznej kołdry i mamy czuł się jak podany dziotom na tacy.

A jednak, co prawda po przedłużających się torturach, dzioty wreszcie spuściły z chłopca wzrok, kwitując jego nienaturalne położenie pogardliwymi pomrukami. Leon nie wierzył we własne szczęście. Dla pewności nadal tkwił w bezruchu, lecz z jego ramion spłynął jakby tonowy gład. Naprawdę... Naprawdę mu się udało!

Postanowił, że tym razem zaryzykuje i nie pozostanie spętany niewidzialnymi węzłami dłużej, niż to konieczne i gdy tylko podchwyci zza okna zgodne człapanie zerwie się w miejsca i popędzi prosto na kanałę, do mamy. Jakże słodka będzie to chwila! Zamiast jednak uświadczyc dającego nadzieję człapania, uszu Leona dosięgło coś zgoła innego. Był to łagodny, dziecięcy śmiech.

Dzioty doskonale wiedziały, co robić. Jako prawdziwi mistrzowie swego fachu nie dali ponieść się emocjom i zachowały spokój, choć ich gardła wyraźnie aż rwały się do triumfalnego ryku. Leon usłyszał serię intensywnego skrobania po szybie, zaraz potem coś jakby śliskie, żółwie łapy drapiące terrarium. Wiedział, co się dzieje. Koszmarne istoty usiłowały wdrzeć się do środka przez uchylony lufcik. Szły po Mayę.

Teraz albo nigdy! Leon nie wahał się ani chwili, zamasyście zdarł z siebie bezpieczną osłonę z koca i odrzucił ją w kąt. Musiał natychmiast sięgnąć okna, powstrzymać dzioty i odciąć im jedyną drogę do środka. Nie miał żadnego planu, przebłysków rozsądku ani strategii na niepowodzenia. Jedynym co rządziło jego młodym sercem i zarazem było silniejsze niż gorączka bojaźni, było trudne do wytłumaczenia poczucie odpowiedzialności, jaką stanowiło bycie czyimś starszym bratem.

Zdyszany i spocony jak mysz chłopiec rzucił się w stronę okna, rysujące się na szybie ciemne sylwetki dziotów zlewały się w jeden wielki czarny organizm z powielonymi szpiczastymi uszami i błoniastymi łapskami wyrastającymi z każdej strony. Leon pragnął krzyknąć co sił lecz z tyłu głowy wciąż dopadał go obraz rzuconej na kapanie niczym marionetka matki, dlatego zagryzał mocno zęby.

Znalazłszy się tuż przy parapecie podskoczył i spróbował dotknąć klamki, lecz nie okazało się to możliwe, tak jak w jego wyobraźni. Przeraziłwie cienka kość obwieszona płåtami wiszącej skóry sięgnęła do jego czoła. Ostre szpony przypominające szpikulce igieł swym gwałtownym ruchem poderwały do góry kosmyk dziecięcych włosów.

– Nie! – wypalił stanowczo Leon zagniewanym, choć drżącym szeptem. Odskoczył w tył, porwał z podłogi pluszowego misia Mai i cisnął nim w prężącą się kończynę. Pocisk nie wzruszył dziota, ich zastęp tłoczył się przy lufciku powstrzymywany przed wtargnięciem do środka jedynie dzięki ciasnocie wejścia.

– Wi-dzi! – jęknęła przeciągle jedna z istot. – Ii-dzi!

Korzystając z zamieszania Leoś chwycił leżący na biurku mamy zszywacz i rzucił nim w okno. Tym razem łapa dziota cofnęła się spłoszona. Zaraz potem jednak w ślad za niesmacznym pluśnięciem podążyło przejmujące wycie. Chłopiec odruchowo zatkał uszy i zacisnął mocno powieki. Jego zmysły nie podołały wyzwaniu postawionemu przez dzioty – ryk zdawał się zatrząść całym miastem, wwiercać w umysł Leona i siać w nim prawdziwy zamęt. Nie był w stanie dłużej myśleć, przedziwny trans momentalnie odebrał mu siły.

Nim się obejrzał u podnóża okna na parapecie wyrosła czarna sylwetka dziota. Jego rozmiary przekraczały najśmielsze przypuszczenia chłopca, szpiczasto zakończone uszy niemal smagały końcami sufitu. Kreatura zdawała się posiadać nieproporcjonalnie szczupłą do reszty cielska sylwetkę – wysuszoną, wyglądającą na niezwykle łamliwą. Czaił się, przykurczony, z żabio rozkraczonymi dolnymi kończynami, w gęstniejącej wokół ciemności. Jego kompani zastygli za nim na zewnątrz niczym wierne cienie.

Dziot pochylił się nieznacznie ku łóżeczku Mai. Błysnęły żółte kolce jego długich zębów, z głębi gardła potwora wypłynął donośny syk.

– Nie! – wybuchnął Leon. Jego jękliwy pół-szept nieomal nie przełamał bariery między ciszą a hałasem. Tajemniczy trans wciąż ciągnął dziecięce powieki w dół, tępił zmysły. Chłopiec walczył z nim jednak najdzielniej jak umiał.

Zrobił niepewny krok w przód. Koncentrował się na osłoniętych mrokiem konturach nocnego stworzenia, które postanowiło najwidoczniej poczekać z wykonaniem egzekucji na niemowlęciu. Stwór powoli zwrócił garbaty łeb w stronę Leosia. Poszczególne rysy upiornych szczęk rozmazywała ciemność.

– Idzi, idzi – zaszemrały złowieszcze, podniesione głosy zza szyby. Poruszenie to najgroźniejszy dziot zwisający nad łóżeczkiem zakończył dzikim rykiem.

Leoś, nieudolnie podążając za uwagami szczerzących zębiska stworów, na moment spuścił wzrok z ogromnego czarnego cienia i popatrzył w bok. Oczyma odszukał ukrytą wśród milutkiej pościeli twarzyczkę siostry. Dziewczynka gaworzyła cichutko bawiąc się własnymi stopami, kompletnie niezainteresowana przerażającym obliczem wiszącej nad nią maskary. Mimo to wyczuła na sobie obarczone przerażeniem ślepie brata i skierowała ku niemu duże, połyskujące w świetle księżyca oczy. Na ich powierzchni odmalowywało się zapytanie.

Drobna pierś Leosia zafalowała raptownie, oddech uwiązał mu gdzieś głęboko w płucach. Więcej czuł niż naprawdę rozumiał, lecz strzępki świadomości przeblyskujące spod zwałów lęku same zaprogramowały jego postępowanie. Nie mając czasu za sprzymierzeńca musiał improwizować.

– Przychodźcie do nas bo chcecie wiedzieć, czy śpimy – bardziej oznajmił, niż dopytał chłopiec. Utrzymał głos przy cienkiej granicy między podniesionym szeptem a zawołaniem. – O to wam chodzi, prawda? Nie lubicie, gdy nie śpimy.

Maya pisnęła cichutko w łódeczku, najpewniej uradowana brzmieniem głosu brata. Największy z dziotów stojący na oknie wycofał się nieznacznie, być może zaintrygowany inicjatywą kontaktu, a może upajający się złośliwie wewnętrzną agonią chłopca.

– Zostawcie Mayę w spokoju! – ciągnął tym samym tonem Leoś. Ze strachu ledwo stał na nogach, cały drżał. – Nic wam nie zrobiła, to dzidziuś!

Dziot charknął gardłowo. Jego wielka, pokryta guzami paszcza powoli wyłoniła się z odmętów ciemności i przypląnęła do Leosia bliżej. Dopiero teraz chłopiec wyraźnie ujrzał wszystkie jej obrzydliwe, płazowate detale włącznie z wytrzeszczonymi, mocno ukrwionymi ślepiami i błotnistym płynem sączącym się z paszczy potwora. Dziecko ledwo zdusiło w sobie wrzask.

– Ty – wycharczał dziot. – Ty idzi. Jijak?

– Nie wiem – odpowiedział prędko Leon, choć nie był do końca pewien ani treści zadanego mu pytania, ani czy ten przebrzydły, rozciągnięty pomruk w ogóle nim był. – Proszę, zostawcie Mayę, ona naprawdę nic nie zrobiła. Gdyby nie ja ona...

Dziot nie czekał na tłumaczenia, odsłonił rząd pokrzywionych zębisk i zarechotał głębokim, nieludzkim śmiechem. Jego dźwięk unosił się do nieba, przeszywał swą mocą wszystko wokół, odbierał zmysły. Leoś przycisnął dłonie do uszu, podczas gdy pocharkująca poczwara straciła zainteresowanie chłopcem i zaskakująco zwinnie jak na swe nienaturalne, pokraczne gabaryty przeskoczyła z parapetu na barierkę drewnianego łódeczka. Wyciągnęła długie łapsko. Dwa pozostałe dzioty zakotłowały się za oknem podniecone. Igielne szpony sięgały do pulchnego brzuszka niemowlęcia.

– Zabierzcie sobie mnie! – zawołał Leon, ignorując uwzględniany wcześniej fakt spoczynku matki. Z salonu dobiegło go jedynie słabe mamrotanie. – Nie – powtórzył, tym razem ciszej. W oczach dziecka zabulgotały łyzy żalości, rozpacz i przerażenia. – Proszę, weźcie sobie mnie, tylko zostawcie Mayę, proszę was. Proszę. Ona nic nie zrobiła, jest malutka, nic nie rozumie. Ten jeden raz, proszę. Ona się poprawi, obiecuję. To ja ją obudziłem.

Dwa koczujące na zewnątrz dzioty popatrzyły po sobie uważnie wymieniając intensywne szepty.

– Ot-o – stwór swym pokrzywionym palcem wskazał zdezorientowaną zachowaniem brata niczego nieświadomą Mayę. – Ot-o – powtórzył.

– Oto – jęknął Leoś wbijając palec wskazujący we własną pierś. – Oto!

Nastąpiła chwila ciszy, nawet stwory z tyłu umilkły widocznie pragnąc dokładnie prześledzić rozwój dalszych zdarzeń. Chłopiec czuł, że jego serce dziwnie najpierw zamiera, a potem wznawia pracę na sza-

leńczo wzmożonych obrotach. Z niemą prośbą na ustach wciąż wpatrywał się jak zaklęty w odrażającego stwora, teraz znów ukrytego w mroku, skulonego i dumającego tuż przy Mai. Jego oddech podrywał do lotu rąbek różowego kocyka dziewczynki.

Wreszcie poczwara odwróciła od niej wzrok. Wycelowała nim prosto w Leona. Chrząknęła niedbale, po czym bezszelestnie wyciągnęła ku niemu górną kończynę obwieszoną fałdami grudkowatej skóry.

Chłopiec pochwycił swą młodą, wątlą rączką łapsko stwora. Gdy to się stało dziot porwał dziecko w objęcia, przyciskając do jego głowy obie łapy. Leon doznał przedziwnego uczucia, że całe napięcie dotychczas pętające jego ciało nagle znikło. Słyszał przeredzony uliczny ruch samochodów, ciche stęknienia Mai, ale odgłosy te gasły, przestawały mieć znaczenie. Strach odchodził, a Leoś wraz z nim.

Leon poczuł szarpnięcie, a potem coś chropowatego tuż pod sobą. W tamtej chwili świat przestawił swą kolejność przed jego oczyma. Dół był na górze, a góra na dole.

– Dokąd idziemy? – spytał słabym, cienkim głosem, lecz dzioty milczały. Powoli sunęły po budynku w dół. – Czy mogę... Czy mogę wziąć ze sobą Teddy'ego?

Odpowiedziała mu cisza.

Razem zaginęli w nocy.

Pani Stevenson zbudziła się nagle, owiana resztkami niepokojąco realnego snu ciężącego na jej powiekach. Cóż to był za idiotyczny majak... Śnił się jej Teddy, ten nowy pluszak którego ojciec Leosia kupił na wyprzedaży w supermarkecie. Palant, skąpił na dziecko nawet tych kilku dodatkowych centów. W każdym razie, Teddy siedział na pieńku do rąbania drewna, a ona, dzierżąc siekierę w ręku, waliła w miś i waliła, cios za ciosem, ale on opierał się i nie dawał zniszczyć, aż w końcu rozwścieczona porwała zabawkę w dłonie i ukręciła jej łeppek. Zabawne!

Kobieta ziewnęła, przeciągnęła się i otrzepała okruchy z wczorajszej kolacji zalegające na sukience. „Co ze mnie za nowoczesna matka” – pomyślała kwaśno. – „Kobieta pracująca i ledwo żyjąca”.

Wreszcie krzyk Mai przypomniał jej, co właściwie wyrwało ją z krainy Morfeusza. No tak, Maya! Biedaczka z pewnością domagała się jedzenia. I tak była dzielna – zegarek wskazywał szóstą a umówmy się, które dwumiesięczne dziecko pozwoli przespać całą noc rodzicom?

Żwawym, bo wyspanym krokiem pani Stevenson przemierzyła korytarz. Gdy znalazła się w swojej sypialni odkryła, że okno otwarte jest na oścież. Rzuciła się wprost na nie jak na wroga i czym prędzej zamknęła. Tuż po tym pochyliła się nad łóżeczkiem i wzięła córkę w ramiona.

– No już – szeptała łagodnie. – No już, maleńka. Było ci zimno, tak? Przepraszam kochanie, mamusia czasem sama siebie już nie poznaje z tego zmęczenia, praca, dzieci, ale ty tego nie zrozumiesz jeszcze, ja

wiem...

Kołysząc córeczkę zerknęła na swoje łóżko. Przyjrzała mu się badawczo dostrzegając, że wygląda jakoś na dziwnie naruszone... Dopiero wtedy ujrzała rzuconą niedbale u wezglowia dziecięcą sylwetkę pozbawioną oznak życia.

Z ust wyrwał się jej donośny, rozpaczliwy krzyk. Szybko odłożyła Mayę do kojca i dopadła do syna, ale nie oddychał. Jego zimne ciało zamarło.

„Dziecięcy zawal” – ocenił specjalista przeprowadzający sekcję zmarłego chłopca. – „Niczyja wina, to po prostu się zdarza”.

„Przeklęty imbecyl” – oceniła go pani Stevenson wybiegając z pomieszczenia zalana łzami. Po Leosiu zostały zabawki, wypchane pudła wycinanek, nieposkromiony ból i Maya.

Teddy przepadł bez śladu na zawsze.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Cofftee, dodano 11.04.2019 12:48

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).